



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.  
Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

### DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.



Doświadczenie fizyczne.

Dawniejsze doświadczenie ze szklanką wody, podane w N-rze 15 było bardzo łatwe, dziś podajemy daleko trudniejsze, polegające także na tejże samej sile odśrodkowej. Serweta, o ile można cienka i lekka, skręcona w kółko, jak wskazuje rycina, kładzie się zwykłym sposobem na stole. A teraz palcem wprawia się to kółko w szybki ruch wirowy. Jeżeli się to robi zręcznie, jeżeli ruch jest bardzo szybki i niestający, serweta w skutek siły odśrodkowej uniesie się w powietrze, można nawet doprowadzić ją tym sposobem tak wysoko żeby spadła na butelkę. Powtarzamy jednak, że to doświadczenie nie jest wcale łatwe, niech więc czytelnicy nie zrażają się, jeżeli im się nie uda odrazu.

### ZŁOTE PACHOLE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez M....a

(Dalszy ciąg).

Gdy rodzice to wszystko zrozumieli co działo się ze Złotem ich pacholciem natenczas matka załzała się łzami wołając:  
— Otóż mieliście wy słusność, ojcze i matko, gdyście



gniewali się na mnie za dworskie moje upodobania i zwyczaje, bo oto żeby nie one, żeby nie opowieści moje, nie przyszłoby do tego nieszczęścia z moim synkiem: sama zawróciłam mu głowę, na dworskie pacholę wykierowałam i mam oto teraz pacholę dworskie!

Stara babka kiwała na to smutno głową, nie mówiąc ani słowa, aby biednej synowej nie przyczynić żalu, który zbyt późny nie naprawia błędu. Ale ojciec i dziad popatrzyli sobie w oczy, pokiwali głowami i starszy rzekł:

— Moja panno, i ty moja synowo, przyznaję ja, że macie czego trapić się chorobą naszego malca, ale jeżeli on choruje tylko z tęsknoty za rycerskim stanem, o czym ja dotąd nie wiedziałem, to dalipan nie widzę znów wcale przyczyny do zgryzoty: a toż dekąd i ja i mój syn martwiliśmy się tém właśnie, że go na piecucha wychowujesz!... aż tu pokazuje się wcale co innego! A cóż to, czyli my nie szlachta na roli osiadła jesteśmy, żeby memu wnukowi za wysoko być miało sięgać po rycerską przepaskę? Niech idzie w Imię Boże na tę drogę zacząć, jeżeli zacznie wykonywać się jej obowiązki!

— I ja tak myślę! — dodał młodszy pan Jaśko. Jeszcze obaj tych słów nie domówili, a już chłopczyzna, jakby nagle ozdrowiawszy, skoczył ku nim, ściskając to jednego to drugiego i dziękując, a matce i babce przyrzekając ciągle po swojemu, że wróci do nich przecież z pewnością!

— Ha, przynajmniej też na te umorusaną Jadwiś patrzeć więcej nie będę! — zawołał nagle podskakując, ale biedaczek osłabiony tak się przytém potknął, że ledwo matka z babką chwycić zdążyły, aby nie upadł.

Starsi spojrzeli wzajem po sobie na te słowa chłopca i posmutnieli, bo trzeba wiedzieć, że ceniąc wielce przyjaźń sąsiedzką, życzyli oni wszyscy bardzo, aby kiedyś z czasem mały Jasiak pojął w małżeństwo Jadwisę, córkę państwa Zborków, i pan Michał Zborek i jego żona także tego pragnęli, a tymczasem pokazało się, że próżne to były nadzieje, skoro chłopak nie lubił naprawdę Jadwisi tak bardzo, że się aż cieszył, iż jej widzieć nie będzie.

Pomimo smutku, jaki ta okoliczność wywołała, nikt jednakże nie mógł zaprzeczyć, iż Jadwisia mogła być nie tak młoda, i walczyć, i błocić, gdy ją matka umyła i w czyste przecieź choć grube i proste oblokła odzienie. Trudno było chłopczyźnie niesłuszność zarzucić i przeto wszyscy go uściskali zamiast połażać za to, że się ogólnym życzeniom sprzeciwiał, zanim je poznał.

## IX.

### Rycerskie pachole.

Zaraz dnia następnego zatem, nie ociągając się z tém, co było już postanowionem, udali się oboje państwo Jaśkowie z Dębinki do Garbowskiego dworca, stojącego daleko, bo w pośrodku prawie tej wsi rozległej.

— Miłościwi państwo — mówił pan Jaśko, gdy wraz z żoną stanął przed starych Garbowskich obliczem — przychodzimy z wielką a pokorną prośbą...

— Cóż to? czy się co w gospodarstwie nie powiodło? może zapomogi potrzebujesz, bracie? — żywo pan zapytał.

— Czy tylko dziecina nie chora? albo starzy?... — spytała pani, ręce składając.

— Ojcie zdrowi, a i z dzieckiem właściwie nie choroba, tylko zgryzota się stała — odpowiedział pan Jaśko, kłaniając się nisko za zaczął pamięć pańską i opowiedział kłopot swój z chłopczyzną, który duchem rycerstwa rozgorzał, i prosił pan Jaśko przyjęcie małego Jaśka na rycerski dwór Garbowski na pacholika miłościwych państwa, aby chłopaczek mógł wedle obyczaju rycerskiego i pragnień własnych rozpocząć od tego pierwszego szczebla trudne i wzniosłe powołanie, do jakiego się zabierał, zamiast ojcom podporą być w domu.

Pan Garbowski machnął ręką z westchnieniem i rzekł:

— I owszem, niechaj synaczek twój, panie bracie dworskiem pacholęciem naszym będzie jako i ty sam byłeś niezbyt

dawno, najchętniej dołożę starań, aby go w szlachetnej sztuce rycerskiej wyćwiczyć, jak moich własnych synów i ciebie ćwiczyłem, aby mógł pójść wyżej po te zaszczyty, do jakich ty się nie piałeś. Co zaś do tego, że synaczek twój po te zaszczyty w świat się wydziera, chociaż jest jedynym u ciebie to już nie miej o to żalu do dziecka, bo taki bywa los rodziców częstokroć; patrz, że ja, który mam trzech synów, wszystkich trzech w tenże sposób muszę rycerstwu poświęcić i w takim samym, jak i ty, pozostawać osamotnieniu!

— Co? — spyta pan Jaśko zdumiony — Pan Farurej?.. pan Kruczek przecieź?...

— I Farurej i Kruczek pojechali za Zawiszą na węgierski dwór króla Zygmuta, wszystkim im rycerstwo zawróciło głowy, chociaż starsi oni są od twego malca, mój bracie — smutnie machając ręką, rzekł stary pan Garbowski, — a zatem, zgadzając się z koniecznością, pocieszajmy się oba tém słowem, które rzekł mi przy rozstaniu mój Zawisza: „Odjeżdżamy z błogosławieństwem twojem, panie ojcie, ponieważ uznajesz sam, że duch rycerski, który nas unosi ku walczeniu za prawdę i sprawiedliwość, i na obronę słabych na świecie, silnym jest; ale to wiedz, że gdyby kiedykolwiek własna nie-mia nasza obrońców zapotrzebowała, natenczas, porzuciwszy wszystko resztę, staniami na jej granicy ku jej obronie, niby rodzoną naszą matkę! Takie jest moje słowo! chybabym nie żył!”

Tak powiedział mój Zawisza, a tém my się pocieszamy z panną moją, a więc nie trapi się i ty zbyt, boć w lepszych znajdziesz się warunkach, gdy synek twój niedaleko jeszcze od rodziców się oddala, acz na rycerską, pełną przygód drogę wstępuje.

Tak mówił pan Garbowski, pani Garbowska też jeszcze kilka słów od siebie dodawszy, ścisła panią Jaśkową, a nie należy dziwić się temu ich wzruszeniu, gdyż pod owe czas, rycerstwo surowo pojęte uważało się jako zakon, tak samo, jak i małżeństwo lub kapłaństwo, i przeto płakało się przy postanowieniu dzieci na jedną z takich stanowczych dróg życia, tak jak i dzisiaj w podobnych wypadkach się płacze ze wzruszenia nad rozstrzygającym się stanowczo ich losem. I wrócili do domu państwo Jaśkowie pocieszeni, jeżeli nie czem innym, to przynajmniej wspólnością losu z zacnymi przyjaciółmi. W jakiś czas później, gdy tylko ukończono małe oporządzenie, czyli tak zwaną dzisiaj wyprawką dla pacholęcia, pan Jaśko z Dębinki odwiózł synka sam na dwór Garbowski i polecił go uroczysto i pokornie opiece państwa, samej pani jako dziecinę, a panu jako rycerskie pacholę. Mały pacholik nowotny był z dziadów pradziadów szlachcicem, Sulimczykiem także, jak sam pan Garbowski, było to wszakże powinowactwo dalsze, szlachta uboga i acz karmazynową, to jest mającą prawo nosić czerwien, przysługującą szlachcie pierwszorzędnej, przecieź z racji owego ubóstwa obyło się bez szumnych obrzędów przy wprowadzeniu nowego pacholęcia na dwór Garbowski. Matka tylko, babka i serdeczna ich a dostojna przyjaciółka pani Garbowska, zachowały na tę intencję ścisły post, zarówno jak i pacholik mały, a sam pan Garbowski, po uroczystym nabożeństwie w zamkowej kaplicy, w obec całego dworu wyłóżmaczył malutkim pacholikowi obowiązki, jakie tenże brał na siebie wraz ze wstąpieniem na pierwszy ten stopień rycerstwa, poczem miały miejsce skromne acz dzielne rycerskie utarczki na zamkowym dziedzińcu i na tém się skończyła uroczystość, z dodatkiem uczty domowej, na której gośćmi byli jedynie państwo Jaśkowie z Dębinki, a mały pacholik przybrany w dworskie stroje, służył już w nowej godności z błyszczącymi od radości oczkami nową swą pani i dawną zarazem, to jest panią Garbowską i matkę swoją rodzoną.

Po uczcie państwo Jaśkowie odjechali do swęj chaty po bliżkiej, a nowy pacholik wszedł w ścisłe karby dworskiej rycerskiej karności. Ponieważ zaś imię Jaśko służyło jako bardzo pospolite i drugiemu jeszcze pacholikowi, i ponieważ za matki Beaty przykładem znano już i wprzód jej synka na tym dworze pod mianem Złotego pacholęcia, przeto nazywano go tak zazwyczaj i miano to przyszło do niego. Znam



małec tęsknił za matką, okrutnie i już żałować zaczynał, zwłaszcza pod surową karnością marszałka dworu, że się od matki wyrwał, ale po jakimś czasie nowości, obrzędy i zabawy, o których tyle się nasłuchiwał, olśniły go, do obowiązków i surowości przywykł, a nadzieja, że przecież kiedyś przyjedzie cudny jego marzeń bohater, pan Zawisza, ozłociła mu tak dalece każdą chwilę istnienia, że Złote pachole ani spostrzegło, jak chwile te mijały, służąc ku rozwijaniu jego serca i umysłu w rzeczach rycerstwa, czyli dobra i piękna, tak jak następnie na stopniu giermka miały kształcić ramię jego ku ich obronie. Tymczasem w wolnych od obowiązków chwilach Złoty pacholik na równi z towarzyszami tańczył, śpiewał i „darł koty” z dworskimi malutkami panienkami, wszystko wedle starej tradycji Garbowskiego dworca, o jakiej od matki tyle się nasłuchiwał. Bo szlacheckie zwyczaje nie łatwo się zmieniały, trudniej niżeli moda wielko-pańska, i trwały przynajmniej tak długo, jak starczyło domu, który je przyjął zachowywał. Że zaś ludzie długo żyli wówczas, zatem i obyczaje były trwałe, i Złoty pacholik przeto zastał na Garbowskiem dworze to wszystko, o czém od matki słyszał.

W dodatku zastał pomiędzy najmłodszym pokoleniem dworzan, to jest między pacholikami i dziewczątkami świeżą jeszcze tradycję o „małej pannie z Grabek”, która jak była tak i pozostała na długo wzorem takich malutkich a roztropanych i dowcipnych dworskich panieneczek, poszukiwanych i lubianych w ogóle po dworach tak bardzo, że w braku takich doskonałości, zastępowano je aż częstokroć karliczkami. Ale państwo Garbowscy nie lubili karłów, tylko prawdziwymi dziećmi starali się otaczać i dosyć im się to udawało, chociaż od czasów „małej panny z Grabek” długo nie zdarzyło im się dostać ku ozdobie dworu nic równie sprytnego, aż dopiero Złote pachole przyszło podtrzymać sławę swęj matki na Garbowskiem dworze.

(d. c. n.)

## PIERŚCIONEK.

KOMEDYJKA WIERSZEM W JEDNEJ ODSŁONIE

przez Helenę Bojarską.

### OSOBY.

PANI WIELICKA.  
HELENKA jęj córka.  
CELINKA, koleżanka Helenki.  
JÓZIEK, służący.  
KASIA, pokojówka.

### Scena I.

PANI WIELICKA, HELENKA.

(Scena przedstawia pokój skromnie umeblowany, przy stoliku siedzi zamyślona Helenka — po chwili wchodzi pani Wielicka).

PANI WIELICKA.

Cóż, moje dziecko, nie znalazłaś zguby?

HELENKA.

Nie.

PANI WIELICKA.

Ja w tęg mierze różne czynię próby,  
Lecz dotąd nie wiem, kogo winić można,  
A w takim razie muszę być ostrożna;  
Bo podejrzenie o! wierzej mi, dziecię, (z zapalem)  
To rzecz okropna! to wstyd wielki przecie!  
Łatwo je rzucić... lecz odwołać potem  
Zbyt trudno, Helko, czyś myślała o tęg?...

HELENKA.

Tak, lecz napewno jestem przekonana,  
Że wzięła Kasia i gdy dzisiaj z rana  
Mówiłam o tęg, tak się zczerwieniła,  
Że...

PANI WIELICKA (przerywając).

Może biedna właśnie się wstydziła,  
Że ją posądzasz; wszak nie masz dowodu.

HELENKA.

Gdy po śniadaniu wyszłam do ogrodu,  
Pierścionek leżał w pokoju, na stole,  
Kasia tam była i prosił na mole  
Posypywała na meble... dywany...  
Wracam za chwilę... Boże mój kochany!  
Niema pierścionka; na pensję iść pora,  
Ha! myślę sobie, poczekam wieczora,  
Jutro niedziela, czasu więcej będzie,  
Popatrzę jeszcze, poszukam też wszędie,  
I tak zrobiłam; lecz daremna praca,  
Gdy co raz zginie, to się już nie wraca!  
Tymczasem Kasia taka roztargniona,  
Ach! tak, młeczko, to nikt, tylko ona  
Wzięła pierścionek... często go chwaliła,  
Raz przymierzała...

PANI WIELICKA.

I cóż, moja miła,  
Tu jeszcze niema dowodu kradzieży.

HELENKA.

O! jestem pewna, niech mi mama wierzy!

PANI WIELICKA.

Ale, Helenko, czyś dobrze szukała?  
Obwiniać kogoś o! to rzecz niemała!  
Zechci raz jeszcze przejrzeć w każdym kątku.

HELENKA (z niecierpliwością).

Wszak to zrobiłam zaraz od początku:  
Wczoraj wieczorem i dzisiaj od rana  
Szukałam wszędie, młeczko kochana!

PANI WIELICKA.

Ha! niech tak będzie! wierzę w twoje słowa,  
Na miejsce Kasi więc służąca nowa;  
Ją dziś oddaę, bo nie znoszę w domu  
Sług nieuczciwych, nie mów nic nikomu,  
Ja się z nią sama rozmówię w tym względie,  
Za parę godzin już jęj tu nie będzie.  
Lecz nim ten wyrok spełnionym zostanie,  
Ja cię raz jeszcze przestrzegam, kochanie,  
Czy się nie mylisz; bo później zgryzota  
Trapićby mogła; wszak Kasia sierota,  
Nie ma nikogo, ktoby po jęj stronie  
Mógł teraz stanąć i pomódz w obronie;  
Ona się broni przysięgą i łzami...  
A czy wiesz, dziecię, że Bóg co nad nami  
Rządzi w niebiosach, Bóg dobry i wielki  
Zbiera łzy sierot do jedneg kropelki,  
A potem... potem... podług łez tych miary  
Zsyła surowe, sprawiedliwe kary  
Na tych, co łzy te wycisnąć zdołali,  
Czyby to byli wielcy — czy też mali.  
Ach! łza niewinna, gdy na serce padnie,  
Jak ciężki kamień osiada tam na dnie.  
Więc strzeż się, dziecię, i rozważ to sobie,  
Nim ostateczny krok w tęg mierze zrobisz.

HELENKA (z mocą).

Kiedy wiem dobrze, że Kasia jest winna!

PANI WIELICKA.

A ty, być może, zbyt jesteś dziecinna  
I zbyt pośpiesznie szukasz w drugich winy.  
Nie lubisz Kasi i dla tęg przyczyny...



HELENKA (*przerywając*).

O! niedłatego! i niedługo mama  
O winie Kasi przekona się sama.

PANI WIELICKA.

Wiesz co? zadzwonię, niechaj obwiniona  
Przyjdzie tu do nas, co też powie ona?  
(*dzwoni a po chwili we drzwiach ukazuje się Józiek*).  
Zawołaj Kasi!

## Scena II.

PANI WIELICKA, HELENKA, JÓZIEK, KASIA.

JÓZIEK (*piskliwym głosem*).

Proszę łaski pani,  
Ona gdzieś wyszła.

HELENKA (*do matki*).

Tak, czuje, że na nią  
Nie bez powodu ciąży podejrzenie,  
O! ma już ona nieczyste sumienie,  
Ciagle gdzieś biega... ciagle się ukrywa...  
Ze złodziejami to zawsze tak bywa.

PANI WIELICKA (*z niecierpliwością*).  
Jak tylko przyjdzie, powiedz, żem wołała.

JÓZIEK.

Pewnie wnet wróci, coś tu robić miała,  
Czy mogę odejść?

PANI WIELICKA (*prędko*).

Idź, idź mój kochany!

JÓZIEK (*odchodząc, do siebie*).

Oj źle! coś w pani humor zagniewany,  
Coś niedobrego widać tu się święci,  
Na miejscu Kasi być nie miałbym chęci  
(*wychodzi*).

(*Pani Wielicka i Helenka siedzą, przez pewien  
czas nie mówiąc nic do siebie, potem pani Wielicka  
wstaje i wzburzona chodzi po pokoju*).

KASIA.

Czy proszę pani, pani mnie wołała?

PANI WIELICKA.

Tak (*do siebie*) Jak tu zacząć? (*do Kasi*) chodź  
[tu, moja mała!

Czyś nie widziała pierścionka złotego  
Panny Heleny?

KASIA.

Czy tego nowego?

PANI WIELICKA.

Tak, właśnie tego; wiesz moja kochana,  
Zginął gdzieś wczoraj.

KASIA.

Panienska dziś zrana  
Mówiła o tém, to też zaraz wszędzie  
Dobrze szukałam, tu go już nie będzie,  
Bo przeglądałam w każdym, w każdym kątku.

HELENKA (*ironicznie*).

Ja to wiedziałam zaraz od początku,  
Lecz to rzecz dziwna, by mógł zginąć w domu,  
Ha! pewnie widać podobał się komu.

PANI WIELICKA (*do Helenki*).

Ty się nie miesza! (*do siebie*) mam ja doświadczenie,  
To biedne dziewczę czyste ma sumienie,  
Lecz udam jeszcze, że w Helenki słowa  
Wierze istotnie i jestem gotowa

Wydalić Kasię (*do Kasi surowo*). Wiesz, moja kochana,  
Że to rzecz dziwna, to rzecz niesłychana,  
Aby z mieszkania ginęły przedmioty!

HELENKA (*ze smutkiem*).

Jeszcze tak piękny pierścionek...

KASIA (*z płaczem*).

Cóżem ja winna? toć jam go nie wzięła.

Kasia w téj chwili będzie wydalona,  
Bo nikt nie winien, o! nikt, tylko ona!

(*chodzi po pokoju i myśli*).

To dziś niedziela!... aha! wiem co zrobię,  
Mam dosyć czasu pogram trochę sobie,  
Takam doprawdy nieswoja od rana,  
O ten pierścionek, ciagle zagniewana  
(*wychodzi i wkrótce za sceną słychać muzykę*).

HELENKA (*za sceną*).

Czy tam kto przyszedł? czy tam mnie kto woła?

JÓZIEK (*za sceną, piskliwym głosem*).

Panna Celina przyszła do panienki.

CELINKA (*śmiejąc się*).

Jakiż ten Józiek ma głos dziwnie cienki.

(*wbiega Helenka*).

Jak się masz, Helo!

HELENKA.

Witam cię, Celinko!

CELINKA.

E, coś mnie witasz z niewesołą minką,  
Czyś mi nie rada? przeszkadzam ci może?  
Zaraz też wyjdę...

HELENKA (*przerywając*).

Ale nie! broń Boże.

Rada ci jestem, lecz, moja jedyna  
Mam dziś zmartwienie...

CELINKA (*przerywając*).

Zgaduję! przyczyna

Twego zmartwienia zaraz się rozchwije,  
Taką przynajmniej mam, duszko, nadzieję;  
Smucisz się pewnie pierścioneczka stratą?

(*wyjmując pierścionek*).

Patrz! czy to nie ten?... a co mi dasz za to?

HELENKA (*z radością*).

Ach! moja droga! jakże się to stało?  
Toż ja tu miałam zmartwienia niemało,  
Gdzież on był, Cesi, gdzież ja go zgubiła?

CELINKA (*siadając*).

Zaraz ci wszystko powiem, moja miła,  
W mojej skrzyneczce szukałaś obsadki,  
Pewnie więc wtedy upadł do szufladki,  
Później niechący wzięłam go z książkami;  
Wyjmuję w domu kajet z ćwiczeniami  
A wtém bęc! patrzę, coś na ziemi leży,  
A więc masz zgubę...

HELENKA.

Dziękuję najszczerzej.

Jakże się cieszę!

CELINKA (*wstając*).

A teraz bądź zdrowa!

HELENKA.

Co? chcesz odchodzić? niechże Bóg zachowa!

CELINKA.

Kiedy Heluniu, wizyta mnie czeka:  
Nasi znajomi przybyli zdaleka  
Wczoraj dzień cały u nas przepędzili,  
Dziś idziem do nich; ludzie bardzo mili;  
Nie byłam właśnie na pensyi w sobotę,  
Bo miałam w domu dość pilną robotę;  
Mama mnie czeka, śpieszyć się kazala,  
Więc tyłkom ciebie uspokoić chciała  
Co do pierścionka. Zegniam cię, kochana!

HELENKA.

Więc do widzenia!

CELINKA.

Tak, do jutra rana!

(*całując się, poczem Celinka wychodzi*).

HELENKA (*sama*).

Ach! jak to dobrze! ale nie wiem sama,  
Co na to wszystko powie teraz mama?  
Nie wiem, czy cieszyć, czy smucić się muszę?  
Jakiż ja wiecznie przechodzę katusze!  
Boże, mój Boże! pocom posądzala?



Kościół Ś-go Stanisława na Skalce, w której widać szczątki Jana Długosza (str. 278. 278)

## Scena III.

CELINKA, HELENKA, JÓZIEK.

(*Wchodzi Celinka w okryciu i w kapeluszu i przez chwilę rozgląda się po pokoju*).

CELINKA.

Niema Helenki? czyżby się schowała?  
Służący mówił, że tutaj być miała. (*nadsłuchuje*)  
Ktoś gra w salonie, ach! to pewnie ona (*stucha*)  
Nie, znów nie słychać... takam roztargniona,  
Nie wiem czy słyszę, czy nie słyszę zgoła...



Wiedziałam przecież, że to rzecz niemała;  
Najgorzej z mamą; cóż powiedzieć mogę  
Na swą obronę? straszną czuję trwogę!  
Kasi już pewnie niema do téj pory...  
Jakże to człowiek do podejrzeń skory!  
Jedno słóweczko tyle złego zdziała...  
O! jakże wszystko odwołałbym chciała,  
Lecz już zapóźno!... co czynić wypadnie?  
Wszystko się wyda... jakże to nieładnie...

*(myśli przez chwilę).*

O znalezieniu nic nie mówić może...  
Tak... pierścioneczek do szkatułki włożę...  
Na Kasi winą niechaj cięży sobie,  
Nikt się nie dowie... *(po pewnym namyśle mówi z mocą)*

[Nie; tego nie zrobię!]

Opowiem wszystko *(ze smutkiem)* mama się pogniewa,  
Ach! jam doprawdy bardzo nieszcześliwa!  
Kasia już pewnie, pewnie wydalona,  
Com ja zrobiła? czym była szalona?!

*(siada i płacze, wchodzi matka).*

#### Scena IV.

HELENKA, PANI WIELICKA.

PANI WIELICKA.

A to co znowu? co znaczą te płacze?

HELENKA *(z płaczem)*.

Mateczko droga! wszystko wytłumaczę,  
Wszystko ci powiem, chciej przebaczyć winę!

PANI WIELICKA.

Lecz niech wiem najpierw łez twoich przyczynę!

HELENKA.

Mamo! mnie przykro, że źle postąpiła,  
Niesłusznem Kasię...

PANI WIELICKA *(przerwywając)*.

Pewnie, moja miła,  
Znalazłaś zgubę, byłam pewną tego,  
I czegoż płaczesz?

HELENKA.

Ach! że tyle złego  
Mogła uczynić!

PANI WIELICKA *(surowo)*.

Oczy łekasz się kary!

HELENKA *(z zapalem)*.

O! nie mateczko, i nie ma ofiary,  
Którejby za to ponieść nie zdołała;  
Kara, mamuniu, to jeszcze rzecz mała,  
Zniosę ją chętnie lecz... *(z nieśmiałością)* Kasia...  
[mój Boże...]

Już wydalona... sprowadzić ją może...  
Co zrobić teraz? *(patrzy na matkę błagając)*.

PANI WIELICKA.

Wszak żałujesz szczerze,  
Że źle zrobiła?

HELENKA.

O! tak!

PANI WIELICKA.

Wierzę, wierzę!

A więc posłuchaj: Kasia nawet nie wie,  
Że ją niesłusznie posadzała w gniewie,  
O wydaleniu nie myślałam wcale.

HELENKA *(z radością)*.

O! mamu droga! ach! to doskonale,  
Ja się tak bałam, bo mówiłaś przecie,  
Że ją wydalisz zaraz.

PANI WIELICKA.

Moje dziecię,

Starsi, co więcej mają doświadczenia,  
Nie obciążają swojego sumienia  
Z takim pośpiechem i karać, kochanie,  
Nie wiedząc za co, nie byliby wstanie;  
Łatwo to zbłądzić, lecz naprawić potem,  
Błąd taki trudno, o! pamiętaj o tém!  
Żal po niewczasie niewiele pomoże,  
Cóżbyś zrobiła teraz?

HELENKA *(wzdychając)*.

Boże! Boże!

Gdyby nie moja mateczka kochana,  
Byłabym teraz srogo ukarana;  
Czyż napięknieszy pierścioneczek złoty,  
Mógłby mnie cieszyć, zlany łzą sieroty?

PANI WIELICKA.

Dosyć już tego, żal zmazuje winy,  
Obetrzyj oczy! jutro imieniny  
Cioci Antosi, pójdziemy do miasta,  
Robić sprawunki, obstalować ciasta...

HELENKA.

Dobrze, mateczko, posłucham z ochotą,  
Wszak posłuszeństwo także zowią cnotą.

*(całuje matkę w rękę, poczem obie wychodzą).*

Zasłona spada.

#### KOŚCIÓŁ Ś<sup>GO</sup> STANISŁAWA NA SKAŁCE.

Od najdawniejszych czasów zaprowadzenia chrześcijaństwa w Polsce istniał pod Krakowem, na skalistém wzgórzu, Skalką zwaném, kościół Ś<sup>GO</sup> Michała. Tu d. 8 Maja r. 1079 Ś<sup>ty</sup> Stanisław poniósł śmierć męczeńską z rąk Bolesława Śmiałego. Zwłoki męczennika były zrazu złożone w tym kościele, później dopiero przeniesiono je do katedry na Wawelu. Na miejscu dawnego, drewnianego budynku, król Kazimierz Wielki wznosił piękny murowany, pod wezwaniem Ś<sup>GO</sup> Stanisława; później zaś słynny dziejopis Jan Długosz osadził przy nim księży Paulinów, a gdy życie zakończył, tu pochowano jego zwłoki. Kościół na Skalce w wielkiem był zawsze poszanowaniu u królów polskich, którzy w dniu poprzedzającym koronację, udawali się tu pieszo z zamku w uroczystej procesyi i słuchali nabożeństwa, dla uproszenia błogosławieństwa Bożego i pomocy do dobrego sprawowania rządów.

#### POŚRÓD ŚNIEGÓW I LODÓW.

PAMIĘTNIK SZESNASTOLETNIEGO PODRÓŻNIKA  
w krainach północnych.

*(Dalszy ciąg).*

Tymczasem Hans-John naglił wesoło do pochodu:

— Nie sądziłem, aby tak łatwo było przebyć te góry o których tyle słyszałem — mówiłem do ojca, idąc dalej wśród słonecznych blasków, i mchów barwistych, i kwiatów jaskrawych, choć rzadko się pojawiających, i drzew niezbyt wielkich, lecz pięknych i rozłożystych. Było to wszystko takie ładne, że nie zważałem przytém na śniegi, błota, i przepaście, które wśród tego wymijać musiały tak samo, jak z tamtej strony „górek”. Na dole, na zielonej bezmierniej



plaszczynie ujrzałem w niewielkiej odległości coś naksztalt ogromnego mrowiska; w owę to stronę dążyliśmy;

— U! hu! hu!... — wołali nasi przewodnicy, zsuwając teraz z górki z wielką łatwością, lecz zawsze ostrożnie, łodzie nasze pakowne. Niepodobna aby dosłyszano tych okrzyków w tak wielkiej odległości, ale zapewne spostrzeżono nas, i może domyślono się znajomych, bo mała gromadka oddzieliła się od reszty mrowiska i zbliżała do nas. Mrowisko owo przy zbliżeniu okazało się ogromnem, kilk tysięcznem stadem reniferów, a dwa tylko nieduże namioty ich właścicieli stały przytulone do skały na boku. Jeden człowiek, kilkoro dzieci i piękny kudłaty pies, wesoło naszczekujący, szli ku nam. Zbliżywszy się do Hans-Johna, zamienili kilka tajemniczych wyrazów i natychmiast miejscowy ów Sames zaczął żywo gestykulować w stronę namiotów. Nie widziałem, aby się witali z sobą, jeden tylko z naszych wioślarzy i nowoprzybyły położyli sobie wzajemnie prawe ręce na ramionach, nachylając głowy ku sobie.

W chwilę później rozbito nasz namiot i my spoczęliśmy pod nim, nie czekając nawet na kawę, bo utrudzenie przemożło nad wszystkiem. Widziałem jednakże, że gdy jedni stawali namiot, drudzy tymczasem najstaranniej zabezpieczali szacowną łódkę z zapasami przy ożywionej jakiejś naradzie. Ozy mi się zdawało, że radość objawiała się między Samesami? nie jestem tego pewny, bo lud ten z natury jest spokojnego temperamentu i nie łatwo objawia uczucia, które też nie bywają podobno zbyt żywe.

Nie mam żadnego wyobrażenia, jak długo spałem po utrudzeniu przykrój choć niedługiej podróży. Obudziwszy się, ujrzałem ojca, stojącego już przed namiotem, podszedłszy do niego, stanąłem także na widok dzikiego rozruchu, napelniającego równinę przed namiotami. Psy i ludzie biegali jak szaleni, renifery o strasznych rogach, jakby rosobatych drzewkach na głowie, zdawały się oszalałe. Kobiety i dzieci krzykiem i machaniem szmat jakichś przyczyniały się do wrzawy, której ani celu, ani przyczyny jakiś czas pojąć nie mogłem. Nareszcie dostrzegłem migające wśród reniferów sznury z pętami zaciąganiem i pojąłem, że jest to polowanie jakby na dzikie konie, jakkolwiek renifery są niby przyswojone. Samesi chwytały je na arkany, ale im się to nie udawało, bo gdy gonione zwierzę, wystraszone i rozhułkane, rzucało się w tłum innych, wtedy już ani pies ani człowiek nie śmiał go tam szukać z obawy przed kopytami i rogami rozjuszonych bydła. Trudno więc było chwycić upatrzone renifery, a właśnie uganiano się koniecznie za upatrzonemi.

Dużo czasu i trudu zużyto, nim nareszcie schwymano jednego renifera i zapędzono do małego ogrodzenia, gdzie związano mu nogi, a rogami odwrócono go tak, aby był nieszkodliwy. I dopiero wtedy, gdy sądziłem, że go zabiją na pożywienie, albo że go powiozą kędyś, ujrzałem najprostsze wytłómaczenie tej ogromnej wrzawy i całego kłopotu: oto przyniesiono naczynie i wydojono samicę renifera... poczem rozwiązawszy ją, puszczo szalejącą, a rozpoczęto także samo uganie się za drugą dojną samicą. Długi czas siedzieliśmy na odłame skały, przypatrując się tej gwałtownej, ale wcale nie pośpiesznej robocie, i widzieliśmy zaledwo kilka samic, które łagodzone, głaskane i wabione garstkami najsmaczniejszej żywności, dały się przecie zaprowadzić do ogrodzenia i wydoić bez gwałtu i wiązania, a i te zachowywały się jeszcze tak, jak najniesforniejsze krowy, które po jednym podobnym udoju straciły na zawsze dobrą sławę. A przecież jest to już szczyt przyswojania, gdy dojna samica renifera pozwala się w taki sposób niby dobrowolnie doić i niby sama po to przychodzi.

Gdyśmy pierwszy raz na to stado z góry patrzyli, to nie tylko ja, ale i ojciec nawet obliczał je w przybliżeniu na kilka tysięcy sztuk, tymczasem dowiedzieliśmy się, że było ich ledwo 1500. Gestwina rosobatych rogów, która z daleka wygląda jakby las zimowy, ludzi w ten sposób oko niedoświadczone. Otoż gdyśmy teraz, siedząc na głazie, pijąc kawę i patrząc na cwo dojenie z przeszkodami, zaczęli obra- chowywać, ile też czasu potrzebują gospodarze lapońscy na

wydojenie swego dobytku, to pokazało się, że w żaden sposób nie mogą zrobić tego nawet raz na dobę, mówiąc po naszemu, bo u nich trudno dzielić na doby nieustanny dzień. Jak zaś radzą sobie z tak dzikimi zwierzętami w dniach krótkich i wśród długiej swej nocy, tego doprawdy pojąć nie mogę.

Zamieszanie zdwoiło się, gdy kilka reniferów wśród stada zaczęło rzucać się, kichać, parskać, i skakać, rozbijając wszystko naokoło siebie w zupełnem szaleństwie, aż nareszcie zakrzusiwszy się okropnie, jeden wyzionął kłęb ro- bactwa, i dopiero drżąc z wysilenia uspokoił się powoli, bo to była przyczyna jego szału. Jest tam szkaradny owad, z gatunku baka, który jaja swoje składa aż w nozdrzach i w gardle reniferów, a we właściwej porze, gdy robactwo to wyroi się, drażni ono i dusi zwierzęta tak okropnie, że doprowadza je do szaleństwa chwilowego, a nieraz i zadusza, zwłaszcza młode. Zbliżywszy się do niektórych reniferów, o tyle oswojonych, że pozwalały na to, zobaczyłem na grzbiecie jednego z nich duże szramy, jakby po wielkich ranach, i dowiedziałem się, że to znowu robota innego owadu, składającego swe jaja w grzbiecie zwierzęcia, a gdy wcześniej go od tego nie uwolnią, to skóra jest tak podziurawiona, że zwierzę poranione traci zupełnie prawie swą wartość. Ojciec powiedział, że coś zupełnie podobnego ma miejsce ze zwykłymi cielećkami. Przyznam się, że nie uczuwał wcale powo- łania na gospodarza hodowcę stad... A trzeba pamiętać, że przez cały czas tej rozmowy chmury owych strasznych owadów unosiły się nad stadem, tak jak i nad nami. Jakąż więc straszną pracę mają biedni Samesi ze swojemi renifera- mi, tém bardziej, że na obsługę tych 1500, na które patrzy- łem, było wszystkiego czternaścioro ludzi, oprócz dzieci.

Dzieci małe łatwo mi było odróżnić, ale kobiety od męż- czyzn nie potrafiłbym wcale, bo wszyscy jednakowo zdawali mi się odziani w skóry i tkaniny nieokreślonej formy i barwy, ponieważ wszystko, a przedewszystkiem twarze, nikną pod grubym pokładem tłustego brudu, pochodzącego oprócz in- nych naleciałości głównie z owiej maści, która służy za ochro- nę przeciw komarom. A częścią składową maści owiej ma być podobno smoła!... Przypuszczam tylko, że te istoty, które doily renifery, musiały być kobietami, a mężczyźni za- pewne uganiali się za zwierzem, ale to mój domysł tylko, gdyż nawet wzrostem nie różnią się od siebie, wszyscy są mali, czarnowłosi, żółto ciemnej cery, i jakoś dziwnie spokojni, gdy tylko załatwili się z owem wrzawliwem z konieczności doje- niem. Słyszałem zawsze, że Lapończycy są dobrzy, ale teraz o mało nie nazwałbym ich grzecznymi. Zwłaszcza dzieci zdziwiły mię tak bardzo, że zapomniawszy się powiedziałem ojcu, że one dobrze wychowane... Oczywiście rozśmialiśmy się obaj z tego, bo naprawdę trudno byłoby nawet wymagać od tych biedaków, aby myśleli o wychowaniu dzieci, gdy z ta- kim trudem muszą myśleć o ich wyżywieniu za pomocą ucia- żliwej hodowli reniferów. Ojciec jednak zwrócił moją uwagę na tę prawdę że to, co przywykliśmy nazywać grzecznością i dobrem wychowaniem, jest nie czem innem, tylko okazywa- niem uprzejmości i dobroci, która powinna być wychowania podstawą, i dla tego to ja nazwałem mimowoli dobrze wycho- wanemi dzieci lapońskie, chociaż nie umiały się grzecznie kłaniać.

W istocie nie tylko że nam się nie naprzykrzały, ale na- wet prawie nie przyglądały się bardzo, choć tak rzadko widu- ją obcych ludzi. Mniejsze osłaniały starsze przed rozpędzone- mi reniferami, a jeden malec spostrzegłszy pędzącego na nas renifera, skoczył ku niemu i odpędził go, machając jakąś szma- tką na kijek, czego zwierzę się zlekło i odeskoczyło, a nas nie- znanych byłoby może zabiło, mimo zastawiania się kijami. Inne znowu dziecko, spostrzegłszy, że zapatrzywszy się na renifery, upuściłem kubek i wylałem swoją kawę, zaraz powiedziało to drugiemu starszemu, a to, podniosłszy kubek pobiegło do Hansa-Johna, wskazując na mnie i opowiadając całe zdarze- nie, poczem Hans przyniósł mi świeżą kawę, po którą ja bym iść nie mógł do ogniska, z powodu biegania rozszalających swo- ją chorobą dwóch owych reniferów. Jakże więc nie miałem nazwać tych spokojnych i pocziwych dzieciaków dobrze wy-



chowanemi, ... zapomniawszy się oczywiście. Ale podobno matka miała słusność utrzymując, że spokojna życzliwość dla każdego, i silne zdrowie są cechami Samesów.

Ponieważ dawno nie jedliśmy świeżego mięsa, przeto ojciec kazał Hansowi kupić dla nas renifera. Przez Hansa musieliśmy się porozumiewać, chociaż ojciec umie cokolwiek po lapońsku, ale tak jak mówią koło Tornei, tu za „górkami” już jest odmienny dyalekt, i w ogóle w okolicach każdej rzeki inaczej mówią Lapończycy, jak Hans-John utrzymuje. Renifera sprzedano chętnie, ale nie całego, tylko targując się o to, abyśmy jak najmnijszą część jego wzięli. Nadaremnie ojciec chciał więcej płacić i więcej brać, a chodziło mu o to, aby i nasi przewodnicy jedli z nami. Nie mogliśmy zrazu tego targu zrozumieć, aż doszliśmy po porozumieniu z Hansem, że i tu „szewc bez butów chodzi” po staremu, jak powiedział ojciec. Samesi, hodujący renifery, skąpią ich dla siebie samych niezmiernie, tak, że tylko w nadzwyczajnych wypadkach, takich jak obecny, jedzą to mięso, a więc wtedy prosto przez łakomstwo chcieliby jak najmnij sprzedać, aby dla siebie samych mieć więcej ulubionego przysmaku.

Gdy już zgoda stanęła, ucieszyli się bardzo, że nie domagaliśmy się, ani skóry, ani rogów, ani wnętrzości. Potem po długim wybieraniu i chwytaniu renifera i zabiciu go, zrozumiałem dopiero, jakim bogactwem dla nich jest to zwierzę widząc jak troskliwie spożytkowali najmnijszą jego część, tak, że aż mi głodnych psów żal się zrobiło, bo nie dano im nawet tego, co niejako z prawa psom się należy. Kości ludzkie gryzli, a te, których już pogryźć nie mogli, porozbijali kamieniami, wybierając z nich i wysysając najmnijszą odrobinę szpiku. Wszystkie ścięga zebrano uważnie, aby z nich robić nici. Zresztą ze wszystkich wnętrzości ugotowawszy je z solą, wyprawiono sobie natychmiast ucztę, a najlepsze części mięsa, miano ususzyć, jako kosztowny przysmak na zimę. Skórę, rzecz pożądaną nad pożądaniami, oprawiwszy starannie po swojemu, zachowano na sprzedaż, ponieważ wszyscy zaopatrzeni byli dostatecznie w zimowe odzienie. Rogi ogromne i gałęziste odłożono z takim poszanowaniem, jakby były co najmnij ze szczerzego złota; powiedział Hans, że zrobią z nich zapas łyżek, trzonek do noży, pudełeczek, i mnóstwo innych rzeczy, a resztę schowają, aby przy sposobności sprzedać polującym na ten towar kupcom, którzy go w świat powiozają. (d. c. n.)

## ZAGADKA HISTORYCZNA

Z NAGRODĄ.

W XVI wieku żył mąż, pochodzący z jednego z najstarszych rodów polskich: do dziś widzieć można na wyniosłej górze zwaliska zamku, który był rodu tego kolebką. Mąż ten za młodu zwiedzał obce kraje i walczył dzielnie pod cudzoziemską chorągwią. Powróciwszy do kraju, pozyskał zaufanie panującego wówczas monarchy i w poselstwie pufnem wyruszył na dwór zamorskiego państwa. Tam otworzyły się przed nim najświetniejsze nadzieje, miał pojąć w małżeństwo córę i siostrę królewską, wprzód jednak morzem powracał do ojczystej ziemi po błogosławieństwo rodziców. Smutny los spotkał go w tej podróży, dostał się w ręce nieprzyjaciół, zachorował i życia dokonał w więzieniu. Znakomity poeta współczesny piękne rymy poświęcił pamięci tego męża, a inny, późniejszy poeta wysnuł z dziejów jego powieść, która wielkie miała powodzenie.

**TREŚĆ:** Doświadczenie fizyczne (drzew.) — Złote pachole, powieść z dawnych czasów p. M...a. (c. d.) — Pierścioneł, komedia wierszem w jednej odsłonie p. Helinę Bojarską. — Kościół Ś-go Stanisława na Skałce (z drzew.) — Pośród śniegów i lodów, pamiętnik szesnastoletniego podróżnika w krainach północnych (c. d.) — Zagadka historyczna z nagrodą — Łamigłówni, rozwiązanie. W Dodatku: Myszkę w pułapce, wierszyk J. P. (z drzew.) — Wycieczka do lasu. — Rodzeństwo p. Bogumiłę. — Łamigłówni, rozwiązanie. — Dodatek książkowy: Przygody młodego chłopca w szkołach.

Do konkursu tego mogą należeć czytelnicy i czytelniczki do lat 15-tu, rozwiązania będą przyjmowane do 15 Października. Najlepsze będzie wydrukowane, a ten, kto je nadesłane otrzyma książkę, jaką sobie sam wybierze z wydawnictw dla młodego wieku któregośkolwiek z księgarzy warszawskich. Prosimy najusilniej, aby wypracowania pisane były bez pomocy starszych i nie zawierały w sobie ustępów przepisanych z książek.

## S Z A R A D A.

(Od Skoczka dla Kazia).

Moje *pierwsze* jest litera,  
A spółnikiem *drugi*,  
Trzeci tytuł, pospolicie w Niemczech używany,  
Lecz każdemu, kto nie sknera,  
Przez pochlebne sługi  
Bywa zwykle po hotelach niemieckich dawany.  
W tej zaś chwili *wszystko* razem  
Jest moim obrazem.

## Z A G A D K A.

(Od Sokoła czarnego dla czytelniczek i czytelników „Wieczorów Rodzinnych.”)

Trzech białych (europejczyków) i trzech czarnych (murzynów) chce przepłynąć przez rzekę. Mają jedną łódkę, na której może się pomieścić tylko dwóch ludzi. Tymczasem murzyni zmówili się między sobą, żeby zabić białych ludzi, napadają na nich, gdy wypadnie jeden biały na dwóch czarnych, albo dwóch białych na trzech czarnych. Biali dowieździeli się o tём i tak urządzili przeprawę przez rzekę, że murzyni nie mogli żadnego z nich zabić. Jakim sposobem więc się przeprawili?

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 33-go.

### Z a g a d k i:

Znaną jestem z natręctwa, Muszka

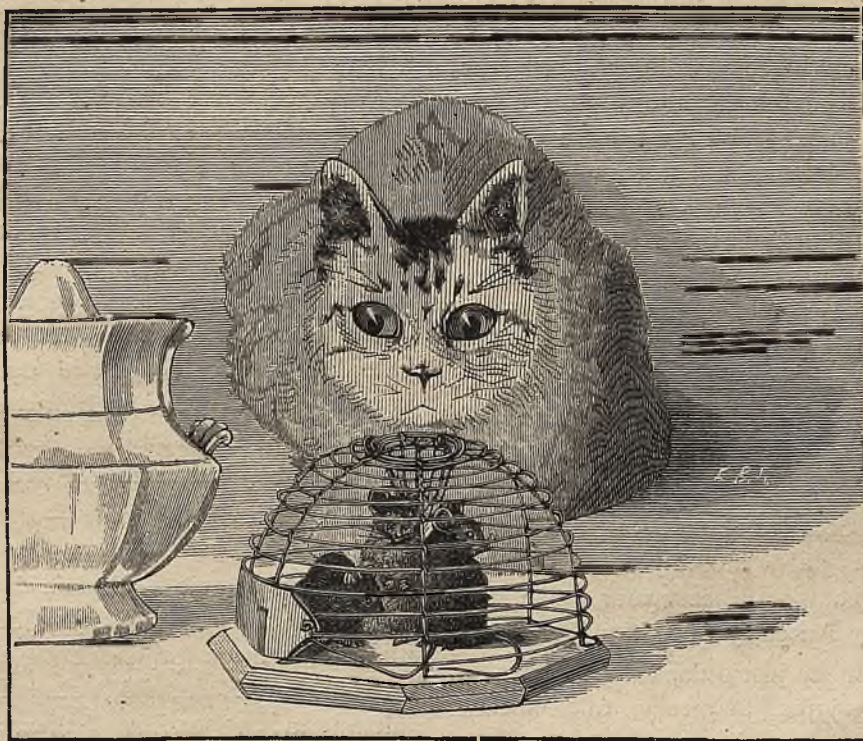
### Łamigłówni zgłoskowej:

Jamajka — Aaron — Niebo — Krew — Owies — Cyrk — Haki.  
Jan Kochanowski.

### Rebusa:

Czem chata bogata, tём rada.





## MYSZKI W PUŁAPCE.

Nieostrożne myszki do pułapki wpadły,  
A choć się słoninki ze smakiem najadły,  
Radeby już bardzo wydobyć się z matni;  
Przyrzekają sobie, że to raz ostatni  
Dla marnych łakoci narażają życie,  
Można i tak przecież podjąć należyte,  
A ta dziwna jakaś chateczka druciana,  
To rzecz w każdym razie bardzo podejrzana.  
Wtém kotka się zbliża, przy pułapce siada,  
I ślinkę łykając, tak sobie powiada;  
O, jakież wyborne mieć będę śniadanie!  
Bo mi się ten przysmak z pewnością dostanie.  
Toż ja dziś śmietanki nie pokosztowałam,  
Słoninki ni masła wcale nie ruszałam,  
A za wstrzemięźliwość czeka mię nagroda,  
Sama gospodyni te myszki mi poda.

J. P.

## WYCIECZKA DO LASU.

Antoś i Zosia były to dzieci ubogiej wdowy, mieszkającej w wsi. Matka nie miała czasu czuwać ciągle nad

nimi, prowadzić ich na przechadzkę, zwykle też bawiły się same lub z innymi dziećmi niedaleko domu. Raz Antoś zaczął prosić matki, żeby mu pozwoliła pójść z kilkorgiem starszych dzieci do lasu.

— Oni będą zbierali jagody i grzyby — mówił — a i ja matusi jagód uzbieram choć mały garnuszek.

— Matusiu, i ja pójdę na jagody z Antosiem — prosiła Zosia — nigdy jeszcze nie byłam tam daleko w lesie, a inne dziewczynki nieraz chodzą.

— Chodzą tylko starsze — odrzekła matka — tybyś jeszcze broń Boże zabłądziła.

— Jagusia młynarza nie starsza odemnie, a chodzi zawsze ze starszą siostrą i na grzyby i na jagody — mówiła Zosia.

— Ze starszą siostrą, to co innego.

— A ja pójdę ze starszym bratem, toż Antoś starszy odemnie.

— To prawda matusiu — odezwał się Antoś — ja jestem starszy od niej, niechże mama ją ze mną puści.

— A czy będziesz ję pilnował? — zapytała matka.

— Czemużbym nie pilnował? Z nią przecież łatwiej sobie dać radę, jak z tą malutką Andzią kowalą, co jeszcze chodzić nie umie, a Jurek, starszy brat Andzi, zawsze ję pilnuje, jak matka z domu wychodzi.

— No dobrze, to idźcież. — powiedziała matka — tylko pamiętaj, Antosiu, oddaję ci Zosię w opiekę, pilnujże ję, nie odstępuj ani na chwilę, bo ona jeszcze mała, mo-



głaby zabłądzić, a gdyby tak noc ją zaskoczyła samą jedną w lesie...

— Ojjoj! matusiu — przerwała Zosia — a toż byłaby okropność! — i oczki obiema rączkami zakryła ze strachu.

— To nie idź, kiedy się boisz — rzekła matka.

— Ej, już pójdę, mateczko, nic mi się nie stanie, Antosiu mnie dopilnuje.

— A pamiętajże nie odchodź od niego — powiedziała jeszcze matka, dała im na drogę kawałek chleba i sera, koszyczek na grzyby i garnuszek na jagody, potem odeszła do swojej roboty, a dzieci pobiegły wesoło i wkrótce w towarzystwie dwóch starszych dziewczynek i trzech małych chłopaków podążyły do lasu. Dziewczęta szły naprzód śpiewając, niosły także koszyki i garnuszki, bo one nie dla zabawy do lasu się wybrały, ale na zbieranie jagód i grzybów, miały je później zanieść do dworu na sprzedaż. Chłopcy obiecywali im pomagać, ale jak przyszli do lasu, jeden zaraz wdrapał się na drzewo, bo mu się zdawało, że obaczył gniazdko, inni pobiegli dalej i zaczęli huknąć, śmiejąc się, gdy echo z różnych stron im odpowiadało.

Antosiu i Zosia szli z początku obok siebie, on znalazł kilka ślicznych poziomek i dał je siostrzyczce, potem ona znów znalazła taką ogromną, a czerwoną, pachnącą i chciała koniecznie, żeby Antosiu zjadł tę jagódkę.

— A co! nie mówiłem, że jest gniazdo! ptaszki poleciały, a w gniazdku leżą jajka, aż cztery, takie śliczne, nakrapiane.

Tak wołał Jakóbek, chłopczyk, który był wlaź na drzewo.

— Jajka! — wykrzyknął Antosiu, i klasnął w ręce — poczekajno, ja także się tam wydrapię i zobaczę. Zosiu, nie odchódź, ja zaraz wrócę.

I zaczął wlaźć na drzewo, Zosia przez chwilę spoglądała za nim, potem popatrzała w inną stronę i spostrzegła z daleka coś dużego czerwonego.

— Jakiś kwiatek prześliczny — pomyślała sobie i pobiegła go zerwać. Lecz jakież było zdziwienie dziewczynki, gdy zobaczyła zamiast kwiatka ogromny grzyb czerwony w białe kropki.

— Co za przepyszny grzyb! — zawołała — urwę go dla mateczki; toż się ucieszy, nigdy jeszcze u nas nie było takich osobliwych grzybów.

Mała Zosia nie wiedziała, że takie grzyby nazywają się muchomory i są straszną trucizną, zerwała więc czerwony piękny grzyb i wrzuciła do fartuszka. A wtém odezwało się w lesie: Kuku! kuku!

— Kukułeczka! — wykrzyknęła dziewczynka — ach! żebym to ja ją mogła zobaczyć!

I nie namyślając się, pobiegła w stronę, z kąd się dawało słyszeć głos kukułki. Ale nadaremnie zaglądała, podnosząc głowę, nie mogła dojrzeć ptaka, który czasem odzywał się bliźutecznie, tuż przy niej, to znów gdzieś daleko i wówczas Zosia biegła dalej, chcąc go dogonić koniecznie. Nakoniec tak się zmęczyła, że musiała usiąść na trawie. Biegając, zgubiła czerwony grzyb, żal jej było bardzo, że go matce nie odniesie, ale pomyślała, że może jeszcze drugi się znajdzie, Antosiu jej dopomoże.

I odpocząwszy, dziewczynka zaczęła biedzić, wołając Antosia, bo jej się zdawało, że to drzewo, na które on wdrapał się razem z Jakóbkiem, było bliźutecznie. Tymczasem Antosiu się nie pokazywał, bo Zosia nie mogła trafić do tego miejsca i szła w stronę przeciwną, coraz więcej się od braciszka oddalała. Poznała w końcu, że jest sama jedna, że zabłądziła w lesie i przełękała się bardzo. Zaczęła więc znów biedzić z całej siły, wołając ciągle: „Antosiu! Antosiu!” ale echo tylko jej odpowiadało.

Gdy tak Zosia błądziła po lesie, Antosiu także spostrzegł, spuściwszy się z drzewa, że siostrzyczki niema. Pewnie poszła z dziewczętami rwać jagody, pomyślał sobie, choć mu się trochę straszno zrobiło, pobiegł więc poszukać dziewcząt, znalazł jedną, potem drugą, żadna jednak Zosi nie widziała. Antosiu rozplakał się z przestachu i zmartwienia, przypomniał sobie, jak to on obiecywał matce pilnować siostrzyczki, sumienie mu wyrzucało, że przyrzeczenia nie dotrzymał. Inne dzieci go pocieszały, wszystkie rozbiegły się po lesie, hukając i nawołując, ale Zosia znikła, niepodobna jej było odnaleźć, a tu czas upływał i wieczór wreszcie się zbliżył.

— Trzeba iść do domu — powiedziała jedna z dziewcząt.

— Idźmy żywo — dodała druga.

— Chodź i ty — rzekł Jakóbek do Antosia — powiesz matuli, może ona przedź Zosię znajdzie w lesie.

— O mój Boże, mój dobry Boże! — biadał Antosiu — jakże ja mogę bez Zosi pokazać się matuli? Nie pójdę, będę szukał jeszcze, choćby i do jutra, póki jej nie odszukam.

— A jak noc przyjdzie? Jakże ty tak sam jeden w lesie zostaniesz? — pytały dzieci.

— A Zosia? — mówił biedny chłopczyka ze łzami — ona taka mała, jakże ja mogę ją samą jedną zostawić w lesie? Ona tam musi być okropnie przestraszona, pewnie płacze... Boże mój, Boże!

Dzieci próbowały jeszcze namawiać Antosia, żeby wracał z nimi, nakoniec odeszły, a on został i chodził po lesie, wołając ciągle z całej siły na wszystkie strony:

— Zosiu! Zosiu! odezwij się, gdzie ty?

Ale Zosia się nie odzywała, wieczór tymczasem zapadał i ściemniło się zupełnie. W lesie tak było czarno, że Antosiu nie mógł nic dojrzeć o parę kroków przed sobą, nie myślał jednak odchodzić, tylko wołał raz po raz z płaczem i jękiem:

— Zosiu! Zosiu, odezwij się!

Długo tak chodził, aż w końcu usłyszał zdaleka jakiś słaby, wyteżył słuch i szedł w tę stronę, jęk powtórzył się wyraźniejszy, on znów z całej siły zawołał i z bijącym sercem słuchał, w końcu z niewymowną radością usłyszał żalony głosik dziewczynki:

— Antosiu! to ja! gdzie ty, Antosiu!

W jednej chwili Antosiu był już przy niej. Zosia leżała pod drzewem, drżąca i spłakana. Obaczywszy braciszka, uspokoiła się zaraz, poskoczyła na nóżki i rzuciła mu się na szyję. Wkrótce jednak nowa trwoga ich ogarnęła oboje.

— Jak my teraz po nocy trafimy do domu? — mówił Antosiu; lecz po namyśle dodał — mnie się zdaje, że trze-



ba tylko iść ciągle prościuteńko, nie kręcić się na wszystkie strony, to kiedyś z lasu wyjdziemy, a na łące już jakoś trafimy.

Tak też zrobili, szli ciągle prosto, trzymając się za ręce i wkrótce dostali się na ścieżkę i na pole, ztamtąd już widać było wieś, bo i księżyc pokazał się na niebie. Nie doszli jeszcze do wsi, gdy po drodze spotkali matkę, była bardzo niespokojna, dowiedziała się od dzieci, wracających z lasu, co się stało, i szła sama szukać Zosi i Antosia. Jak się ucieszyła, widząc ich oboje zdrowych i całych, domyślać się zapewne. Nie łąjała już nawet Antosia, ale go pochwaliła, że nie chciał w lesie Zosi porzucić i nie wrócił, póki jej nie odszukał.

## RODZEŃSTWO

przez Bogumiłę.

Było to w pogodny dzień niedzielny, w pierwszej połowie Września. Na peronie w Aleksandrowie panował ścisk i gwar nie do opisania; w tej porze, która zakończyła ostatni sezon kuracyjny, a rozpoczyna nowy rok szkolny, ruch na kolejach bywa znacznie ożywiony. Właśnie też z jednej strony przybył pociąg z Ciechocinka, wiozący tamtejszych kuracjuszków, a z drugiej pociąg z zagranicy, napełniony tymi, którym u obcych źródeł nakazano ratować nadwątlone zdrowie. W Aleksandrowie zatem, gdzie jako na granicy, krzyżują się pociągi i na komorze rewidują podróżnych, było ludno i gwarno. Tragarze uwijali się z wózkami, wioząc na nich kufry, walizy i paki przeróżne. Przekupnie z koszami pełnymi owoców krążyli tu i tam, zachwalając swój towar. Po między nimi biegali chłopcy i dziewczęta, niosąc w jednej ręce dzbanek z wodą, w drugiej parę szklanych kufelków i wołając: „Świeża woda! Świeża woda! Kto z państwa pozwoli świeżej wody”, i podawali podróżnym, zbierając za to groszaki.

Na peronie długim, pokrytym szklanym dachem, kręcili się panowie, panie i dzieci, a wszyscy z koszykami lub tłumoczkami w rękach, a każdemu pilno, każdy się tłoczy, aby się tylko na pociąg nie spóźnić.

Już też i dał się słyszeć drugi dzwonek, gdy do wagonu trzeciej klasy wsiadła pewna młoda jeszcze pani, mizerna i osłabiona, o twarzy bladej, noszącej na sobie ślady przebytej choroby, a z nią dwoje dzieci, dziewięcioletni chłopczyk, i ośmioletnia dziewczynka, oraz bona, osoba niemłoda ale bardzo sympatycznej powierzchowności, której każdy ruch świadczył o przywiązaniu i troskliwości, jaką otaczała powierzone swęj opiece matkę i dzieci. Dziewczynka trzymała na ręku lalkę, którą tuliła do siebie z prawdziwie macierzyńską miłością. Śliczna bo też to była laleczka! Miała buzię rumianą, jak jabłuszko, oczki niebieskie, jak niezapominajki i długie jasne blond włosy, a gdy dziewczynka ją przechylała, to zamykała oczy, jakby do snu, gdy ją zaś potem podnosiła, to otwierała je, jakby pragnęła wszystkim się przypatrzeć. Mała jej mama tak nią była zajęta, że na nic dokoła siebie nie zwracała uwagi, to ją otulała chusteczką, jakby obawiając się, aby się jej córeczka nie zzię-

biła, to znów układała ją do snu, albo dzieliła się z nią własnym ciasteczkami.

Chłopczyk także był zajęty. Trzymał w ręku pajaca, który raz wydawał się tak mały, jak karzeł, to znów, za pociągnięciem ukrytej sprężynki, wydłużał się tak, że się stawał olbrzymem, sięgającym niemal do sufitu, ach! prawda, wszakże to nie było w pokoju tylko w wagonie... Zapomnieli też pewnie o tém i nasi mali podróżni, bo tak się dobrze bawili, jakby w domu, nie zwracając najmniejszej uwagi na innych podróżnych, którzy z uśmiechem im się przypatrywali. Miło bowiem było patrzeć na ożywione twarzyczki dzieci i na ich grzeczne obejście; ach! żeby to dziatwa chciała o tém pamiętać, jak jej do twarzy, kiedy się grzecznie bawi, jest uprzejma i miła; jak każdego pociąga świeża twarzyczka dziecięcia, okraszona radosnym uśmiechem; ach! gdyby to dzieci chciały pamiętać o tém.

Niestety! lecz nie uprzedzajmy wypadków. Z początku małym naszym znajomym podróż szła bardzo przyjemnie, lecz po jakimś czasie chłopcu pierwszemu sprzykrzył się rosnący i malejący wciąż pajac, więc go rzucił z nieukontentowaniem i zaczął wyglądać przez otwór wagonu. Ale i to mu się wkrótce znudziło, więc dalej sprzeciwiać się siostrzyczce, która siedziała cichutko, trzymając na kolanach na dobre już widać uśpioną laleczkę. Wacio, bo takie było imię chłopczyka, chciał ją wziąć z rąk dziewczynki, która uparcie broniła swojego skarbu.

— Zosiu! daj mi lalkę, bo mi się nudzi — szepnął.

— Nie! nie dam ci, bo ona śpi — odpowiedziała dziewczynka, jeszcze silniej przyciskając lalkę do siebie.

— Śpi, śpi, przecież lalka nieżywa — odparł chłopczyk.

— To moja córeczka — zawołała dziewczynka z powagą — a przecież córeczki zawsze muszą być razem z mamą.

— Co mi tam taka mama — zawołał Wacio — co się byle czego boi.

— Niedobry jesteś, Wacku! — zawołała Zosia — nie kocham cię!

— A ja cię niecierpię, boś skąpa i nieużyta — odpowiedział Wacio — ale to nic, nie dasz mi lalki, to ją sobie sam wezmę.

— I mówiąc to przyskoczył do dziewczynki, chcąc jej wyrwać lalkę, ale panna Antonina, bona szybko zerwała się z miejsca, schwyciwszy chłopca za rękę, posadziła go na drugiej ławce, a sama zajęła miejsce przy Zosi. Wacio zaczerwienił się ze złości, jak burak, ale bał się panny Antoniny, która choć bardzo dzieci kochała, ale w razie potrzeby umiała być dla nich surową, więc już siedział cicho, tylko pomrukiwał pod nosem:

— A to mi siostra dopiero! A to mi siostra!

Mama zmęczona daleką podróżą, jechała bowiem z dziećmi i z panną Antoniną z morskich wybrzeży, dokąd wysłali ją doktorzy dla kąpeli, drzemała teraz i nie słyszała nawet tych dziecinnych swarów, ale inne osoby, siedzące w tym samym wagonie, śmiały się serdecznie, a jedna pani powiedziała tak głośno, że aż to Zosia i Wacio usłyszeli:

— Ach! cóż to za niezgodne rodzeństwo!

Dopieroż dzieci się zawstydzili, ale mimo to nie pomyślały nawet o pogodzeniu się z sobą. Siedziały one



teraz naprzeciw siebie, ale jakże niepodobne do tych grzecznych dzieci, które przed chwilą taki miły przedstawiały widok. Wacio nasrożył się, jak indyk, nachmurzył się i ukradkiem od czasu do czasu pokazywał Zosi język a Zosia, któżby poznał tę ładniutką dopiero co dziewczynkę? Zosia zmarszczyła czoło, odeła buzię, nasunęła kapelusz na oczy i siedziała pochmurna i oswiała.

Pociąg pędził z błyskawiczną szybkością, stacya migała za stacyą, godzina biegła za godziną, a dzieci wciąż siedziały zagniewane jedno na drugie patrząc na siebie z niechęcią.

— Stacya Łowicz! piętnaście minut! — rozległ się głos konduktora, dzieci, znudzone ciągłym siedzeniem na miejscu, zerwały się szybko, aby przez okno wyrzść.

Tu już nie tak było ludno i gwarno, jak w Aleksandrowie, ale zawsze osób na peronie było dosyć i dzieci z ciekawością im się przypatrywały. Nagle uszu ich doszedł tłumiony płacz i słowa:

— O Stasiu! Stasiu mój najdroższy! mój jedyny bracie! co ja pocnę bez ciebie!

Dzieci spojrzały zaciekawione i spostrzegły stojącą tu, obok drzwiczek wagonu, w którym siedziały, dziewczynkę lat może dwunastu, w grubej żałobie, która uwiesiwszy się na szyi starszego o parę lat od siebie chłopca w szkolnym mundurku, gwałtownie zanosila się łkaniem.

— Heluniu! moja najmilsza Heluniu! — mówił chłopiec głosem, w którym przebijały łzy, próbując delikatnie uwolnić się z objęć dziewczynki — nie płacz tak bardzo, nie rozpaczaj, bo widzisz... mnie się serce kraje... oto! na Boże Narodzenie przyjadę i będziemy znów razem, tylko nie płacz, zlituj się, nie płacz! — Dziewczynka puściła szyję brata i podniosła ku niemu zalane łzami oczy, pełne takiego nieograniczonego smutku, że patrzącym na to serca ścisnęły się boleśnie.

— Moja Heluniu! — mówił dalej chłopiec, całując ją z uczuciem — przyrzeknij mi, że nie będziesz tak ciągle płakała po mamie. Ona tam u Boga, więc szczęśliwa już i spokojna, a ja... no! ja przecież przyjadę, a jak Bóg da, że dorosnę, to będę twoim opiekunem, wezmę cię do siebie i już się nigdy nie...

— Proszę siadać! Już trzeci dzwonek! — zawołał nagle konduktor, a otworzywszy drzwiczki od wagonu, w którym siedzieli nasi znajomi, zapytał:

— Jest tam jedno miejsce?

— Jest! — odpowiedziało parę głosów, a na te słowa brat płaczącej dziewczynki szybko wskoczył do wagonu.

Dzieci powróciły już na swoje miejsca, ale jakieś jakby potrwożone, ciche i spokojne, jak trusiątka. Mama ich, która także z okna przysłuchiwała się opisaną dopiero co scenie, zaczęła ze współczuciem rozmawiać z młodym chłopcem, a ten w krótkich słowach opowiedział jej całą swoją historią. Ojciec jego był urzędnikiem w Łowiczu, ale umarł, kiedy Staś miał dopiero lat siedm, a Helunia zaledwie cztery.

(d. n.)

## Łamigłówka w kwadraciku.

(Sokół czarny).

W kwadraciku z 16 podziałek umieścić 6 A — 2 B — 1 M — 2 N — 2 O — 2 R — 1 W — aby odczytać w obu kierunkach: 1. Królowa polska. 2. Kalif arabski. 3. Wnętrze kościoła. 5. Mieszkaniec Wschodu.

## ROZWIĄZANIE DO N-ru 33-go.

Łamigłówki głoskowej:

Lepszy rydz jak nic.

Na kolonie letnie złożyli: Wielkopolanka kop. 21. — K. B. kop. 14 — Na kościół na pradze: Kamelja różowa rs. 1.

## Numer 16-ty.

### PRZEGLĄDU PEDAGOGICZNEGO,

CZASOPISMA, POŚWIĘCONEGO SPRAWOM WYCHOWANIA SZKOLNEGO I DOMOWEGO WYSZEDŁ I ZAWIERA:

1. Spokojność podczas lekcji, przez Henryka Wernica.
2. Z wycieczki w celu zwiedzania zakładów profesyjnych przez J. Kühna.
3. Program postrzeżeń psychologicznych wychowawczych nad dzieckiem, od urodzenia do 20 roku życia, przez J. Wł. Dawida (dokończenie).
4. Pytanie i rozwiązanie jego praktyczne w szkole, przez J. Ch.
5. Krytyka i biblijografia: Słowniczek wyrazów obcych, zawierający wyrazy i wyrażenia, a także zwroty cudzoziemskie, używane w mowie potocznej i w prasie peryjodycznej polskiej, ocenił S. W. — Pamiętnik Warszawskiego Instytutu głuchoniemych i ociemniałych za rok 1884/5, ocenił K. C.
6. Z prasy i książek.

## Waleryja Giewartowska

PRZEŁOŻONA ZAKŁADU NAUKOWEGO ŻEŃSKIEGO.

przy ulicy Ogrodowej Nr. 22/26.

przyjmuje uczennice stałe i przychodnie. Zapis uczennice i wakacjach, rozpocznie się 11/23 Sierpnia.

## ZAKŁAD NAUKOWY ŻEŃSKI

Leonii Rudzkiej

dawniej Herman.

Przyjmuje uczennice stałe i przychodnie, prócz nauki zapewnia opiekę i konwersacyję obcych języków.

Zapis uczennice odbywać się będzie od 20 Sierpnia przy ul. Zielnej Nr 7 i Wielkiej Nr 42.